**WESELE.**

„A cóż mi to za wesele,

Co go tylko dwa dni.

Żeby było dwa tygodnie,

Toby było ładnij.\*

Rzeszów, miasto nad Wisłokiem, brzmiało godowemi dzwięki. Wychodziły one z domu zdawien dawna Opatówką nazwanego, gdzie wedle podania ludzi, przed niepamiętnemi czasy, jakieś opactwo bydź miało. Czy to podanie prawdziwe, nie śmię twierdzić. To jednak pewna, że wielka izba tego domu na śmiało mogła bydż jadalną największego opactwa. Sklepiona sień, krzyż nad odrzwiami, wielkie dwa schody kamienne u wnijścia, równie jak ogromny kaflowy piec, i w ołów oprawne szyby w oknie, zdawały się stwierdzać podanie. Obecnie była tam miodowa arenda, pod godłem owiec i wilków, zgodnie z jednego naczynia jedzących. Najlepsze dereniaki, maliniaki i wiśniaki w dębowych antałach zapełniały głębokie suche piwnice, ku rozradowaniu wesołych a pocieszeniu utrapionych obywateli miasta. Otóż w téj » Opatówce" odprawiało się sute wesele obywatela Miszczańskiego, starszego syna świętej pamięci cechmistrza rzeźnickiego. W dożywotnią przyjaźń, ugodził on sobie córkę kuśnierza zamożnego, który dla dworu starosty czudeckiego, równie jak dla książąt Lubomirskich, tak na Rzeszowie jak i Kolbuszowej delie i tułuby robił. Starostą weselnym był, starszy cechmistrz nad cechmistrzami – a cechmistrz Skacki. Człowiek poważny, rosły, z siwym obwisłym wąsem, a wygadany zwyczajnie jako każden kupiec. Trzeba bowiem wiedzieć, że on półsetkami płócien kupczył. Nieraz tyle półsetków leżało u niego na składzie, iżby niemi można usłać drogę do blichów na Wisłoku w Babicy, dwumilowéj przestrzeni. Starościną była Obywatelka Standyłka, cechmistrzowa rzeźnicka, a wielce poważana kuma

starszego cechmistrza. 

Między drużbami, czyli młodzianami był Bartłomiej Murski, rzeźnik młody na ożenieniu, a między drużkami Jagusia Luderzanka, córka młynarza miejskiego na Strudze pod Powitną. Łabudy z Głogowa grali. A wiecie wy, kto to te Łabudy z Głogowa?– Jest to rodzina, na mil kilkanaście w około z muzycznego daru słynąca. Idąc za wrodzoną sobie skłonnością, szyją latem obuwie dla pracowitych obywateli miejskich i wiejskich, i pilnują sadów wydzierżawionych przez siebie. Skoro zaś obiorą śliwy, otrząsą jabłka i otłuką orzechy, zostawiają sprzedaż owoców żonom, dzieciom i niewistkom; sami rzuciwszy kopyta pod komin, kręcą struny z jelit baranich dobrze wyślamowanych, smarują smyki żywicą przetapianą w łupce z jaja, klarnety oliwą, a gardła miodem – i z wesela na wesele tną od ucha swoją sztukę, żeby się i kulawy na ławie nie osiedział. Bywało ich zwykle sześciu Łabudów i stary Mendel żyd kuśnierz, nierozdzielny ich towarzysz. Trzech rznęło na skrzypcach, dwóch na klarnetach, a stary Łabuda basował aż się ziemia trzęsła. Instrumenta ich były powiększej części swojskiéj roboty, mianowicie basy starego Łabudy, a cymbały Mendla, który kiedy puścił dwie kościanę pałeczki po swojej lutni, to i organista z klasztoru cudownéj Matki Boskiej bernadyńskiéj rzeszowskiéj, (którego godzinki i nieszpory w Leżajsku nawet słynęły) nie mógł się nasłuchać i na podziwiać. Skrzypce miewali gdańskie, zwykle z umysłu w kawałki tłuczone, a potem znowu sklejane dla poprawienia głosu. Owoż ci Łabudy, grali na weselu obywatela Miszczańskiego.



Starszy cechmistrz, jako Starosta z Panną młodą, a za nim Pan młody z Starościną, rozpoczęli taniec polski, stateczny i powolny. Panna młoda w rozpuszczonych włosach i białym muślinowym rańtuchu. Starosta w długiéj siwej kapocie, pas złoty, potężną trzcinę srebrem kutą, i siwą czapkę baranią z białemi wstążkami w ręku. Starościna w złotolitym kornecie, aksamitną taśmą pod brodę przewiązanym, w koralach przepysznych, niebieskiéj spodnicy w mak i piwonię, w wiśniowym w bławat gorsecie, blado seledynowéj pokrzywkowéj przyjaciołce, przewieszonéj, a podbitéj białym królikiem, i w różyczki wzór. Za niemi drużbowie i drużki, między któremi Bartłomiej Murski i Jagusia Luderzanka, a daléj sławetni obywatele miasta Rzeszowa. Wszyscy zarówno ubrani w niebieskie albozielone kapoty, zrobione jak Bóg przykazał i święty obyczaj, po kostki, z tyłu po trzy fałdy z każdéj strony, z prostym złożonym kołnierzem i kłapciami, jedwabną taśmą suto wyszywaną na piersiach, na plecach, koło kieszeni, przez ramiona i łokcie, frazelką niżéj stanu. W ręku lub na głowach mieli potężne czapki z siwego baranka w groszek, wstążkami ściągane z aksamitnym w talar ujętym wierzchem. Pasy lite albo jedwabne; u rzeźników zaś trzosy nie próżne bo się tymfy i talary wytłaczały. Kobiety szły na korkach, w pokrzywkowych lub jedwabnych gorsetach, spodnicach i przyjaciołeczkach o wiszących rękawach, wszystko barwno, wzorzysto i kwiecisto. Na głowach błyszczące kornety albo muślinowe chustki zmyślnie w fataź z przodu wiązane na szyi korale z krzyżem. Zwolna i statecznie obeszli izbę do koła, raz i drugi, kłaniając się gościom i muzyce i sobie nawzajem, jak Bóg przykazał i święty obyczaj. Później zwracali się w prawo, albo w lewo tworzyli bramy i sklepiona, z podniesionych ramion, po pod które przechodzili i odbijali sobie tanecznice. Wszystko statecznie i z powagą, zwyczajnie jak przy rozpoczęciu godowéj uroczystości. Kiedy sobie już pochodzili „powoli lecz do woli"– zawołał starosta, posuwistego!. I poszli mazurka czyli nieskończonego, raźniej jak polskiego, jednakowo nie tak skoczno-jak dzisiaj. W końcu stanął Starosta przed muzyką i zaśpiewał:

„Tańcowałby drużba,

Ale ciasna izba;

Kieby piec wyjeni,

Było by przestrzeni-"

i zawróciwszy odprowadził swoją tanecznicę na miejsce, a wszyscy za jego przykładem poszli. Niebawem znowu odezwała się gędźba, i zagrała krakowiaczka, aż się wszyscy święci wniebie roześmieli– Przewodził młody mieszczan szewskiego wyznania, z swoją kumeczką młodą znaną Zaczepnicą – Jak zwykle, zaczął:

A jak ja se pójdę,

Krakowiaczka w nogi

Aż polecą pasy z butów

A trzaski z podłogi. -

I nuż dalej w koło, że wiatrem zawiało.

śpiewała Za jego śmiejąc przykładem się do Bartłomieja poszła kuma –jego, i• za

Powiadają ludzie –

I cóż im to szkodzi,

Że nasz Pan Bartłomiej–

Do Jadzi zachodzi.

Za chwilę znowu stanęła, i patrząc się na zarumienionych zaśpiewała:

Na rzeszowskiém błoniu

Ptaszkowie śpiewają.

O waszém kochaniu,

Ludzie już gadają.



Bartłomiejowi ani się śniło śpiewać. Bo od czasu kiedy Jagusię pierwszy raz widział i pokochał – na litanii w kaplicy cudownej Matki Boskiéj– nigdy mu się taką ładną nie wydawała jak dziś. Nie mógł oka oderwać od niej, i od kwiatów w ciemnych włosach, i od świeżego rumieńca i wstydliwie spuszczonej powieki. Ale zaczepiony tak jawnie i widząc, że zaczepce końca nie będzie, zawrócił naprzód, stanął przy skrzypku i zaśpiewał pokręcając wąsika:

A jużci a juźci,

Bóg nas nie opuści–

Kiedyś wa se młodzi,

Kochać się nam godzi.

Po chwili dodał:

Swieci miesiąc świeci,

A gwiazdeczki w koło–

Gdzie moja Jagusia

Wszędzie mi wesoło.–

Kłasnął w dłonie i tupając serdecznie, zawrócił kilka razy to w prawo to w lewo tak szybko, że następne pary ledwo zdążyć mogły. Wszystkich oczy zwróciły się na niego, bo wylazło szydło z worka i pokazało co się święci. Zaczęło się sprawdzać przysłowie, że na weselach wesele się zawiązuję. Wszyscy goście o tém tylko mówili a matka Jagusi, siedząc obok swojego małżonka, Wawrzyńca Ludery młynarza na Strudze, w duchu proroczym widziała już córkę swoją żoną Bartłomieja Murskiego, obywatelką rzeszowską, panią cechmistrzową w złotym kornecie i srebrnym sygnetem na palcu, jak ją wszyscy majstrowie i majstrowę w rękę całują. Po ukończonym krakowiaku, pan starosta stanął na środku izby i pochwaliwszy poważnie zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa, stuknął laską o ziemię, i nakazał milczenie. Potém drużbowie, posłali na środku izby kobierzec i wystawili kilka stołków, przy których stanęli rodzice panny młodéj, matka i opiekun pana młodego. Państwo młodzi prowadzeni przez drużbów w koło, ucałowali wszystkich w kolana, a starosta zaczął napomniawszy gości do uciszenia się:

„Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!–

Dziś korona panieńska zakwita w kawalerskim

ręku, przyozdobiona różczkami rucianemi.

Lecz wprzód nim będzie tryumfować, w wspaniałym

akcie kościoła bożego, niech prosi od ojca

i matki błogosławieństwa. -

Państwo młodzi – Wiwat!

Przystąp ojcze do córki i ty matko miła –

by swą głowę panienską przed wami uchyliła.

Teraz wy państwo młodzi, padnijcie przed rodzicielskie

nogi, stopy całujcie i za wychowanie,

za pielęgnowanie dziękujcie. – Ach! korono panieńska

ty kwiecie różowy, uwiniona panieńskie

ozdabiać głowy. Kiedyć Bóg przeznaczył czyli

niebo samo, niech kwiatem twej wonności rozkwita

im serce. Tego wam winszujemy z gronem te

go państwa. Teraz do kościoła bożego zabierać

się trzeba, tam co przysiężecie dochować potrzeba.

Miłość, wiarę, uczciwość, wszelkie powinności, zostając

z sobą w tém stanie bez wszelkiéj złości.

Co wam daj Boże, byście w zgodzie żyli, a po tém

życiu się z Bogiem na wieki cieszyli.

Wiwat państwo młodzi! ••

Wiwat niech-kapela `

Całe weselne grono rozwesela!

Drużbowie podnieśli państwo młode, którzy w płacz rodzicom stopy całując, za to błogosławieństwo od nich odbierali. Starosta wziął podane sobie kropidło, umaczał w święconéj wodzie i kropił wychodzącą wśród hucznéj muzyki godową drużynę– i na chwilę ucichło w Opatówce. Na ślub, prócz mnóstwa ciekawego mieszczaństwa, zbiegli się także dworzanie zamku rzeszowskiego, a między niemi i Grzegórz, naturalny syn pana włodarza Żyłowskiego, którego zwykle „Grzesiem" zwano. Znany to był zawadyak, i ludzie się go bali. Miał może 20 lat, a już był opilcem i łajdakiem. Nieproszony przyłączył się do weselnego grona i pokrzykując przyszedł z nim na Opatówkę, gdzie się niezwłocznie tańce znowu rozpoczęły. W tańcu, ubliżając starszym osobom, odbijał pierwszą parę i nieproszony przewodził weselu. Zdawało mu się bowiem: że, jako dworzanin zamkowy, choć znienawidzony zawsze, łaskę mieszczuchom wyświadcza obrażając ich swą gburowatością. Jeżeli obecność Grzesia niemiłą była wielom, była Bartłomiejowi wprost nieznośną, bo się mu ciągle koło Jagusi kręcił, chociaż go ona widocznie unikała. Nie śmiano mu jednak nic powiedzieć, bo ojciec jego Pan Żyłoski miał u księżnej nieograniczoną wiarę, i sprawiedliwości na niego nie było. Matka pana młodego widząc niemiłe wrażenie, jakie Grzesio sprawiał na gościach, zawołała go na bok i zaprosiła na maliniak, aby go oderwać od Jagusi. Grzesio wierzący w osłodę życia nie wzgardził zaprosinami; pił maliniak i przekąsał białe pierniczki suche, a w izbę powoli.dawna wesołość wróciła. Na domiar zabawy przyszło oczekiwane małżeństwo obywateli Węgrzynków. Węgrzynkowie ci, a mianowicie pani Węgrzynkowa, byli ulubionemi i koniecznemi gośćmi każdego porządnego wesela, gdyż nikt tak jak oni nie potrafił zabawić towarzystwa. Zaraz na wstępie przywitano ich głośnemi okrzykami i gędziebnym huczkiem, na co wszystko ukłonami odpowiedzieli. Starosta i państwo młodzi robili im wymówki z przyczyny opóźnienia się, a wysłuchawszy uniewinnień prosili o wypicie zdrowia państwa młodych. Wypili państwo Węgrzynkowie i pobłogosławili, poczêm ich proszono siedzieć. Co tam siedzieć, zawołała wesoło pani Węgrzynkowa „Do siedzenia trzeba picia i jedzenia" hej muzyko; czyto śpicie? – Muzyka zagrała, a Węgrzynkowa wzięła Młodego, jej mąż –Młoduchę i poszli posuwistego. Pani Węgrzynkowa nie była z Rzeszowa rodem, tylko gdzieś aż z za Lwowa i dlatego prócz zwykłych polskich tańców umiała tańcować. Wiedzieli to ludzie, i ktoś muzykantom podszepnął aby kozaczka zagrali. Muzyka zagrała, szewc Łukasz także niepospolity tanecznik wyskoczył w przysiudach, goście się rozstąpili wkoło, a obywatelka Węgrzynkowa oburącz zgrabnie ująwszy fioletową w żółte pasy spodniczkę, biegała zygzakiem to wprzód to w tył, stosownie do skoków swego tancerza i śpiewała sobie:

A ja sobie od krzaczka do krzaczka do krzaczka,

Tańcowała kozaczka, kozaczka, kozaczka.–

A Łukasz klaszcząc w dłonie, skakał koło niej wykrzykiwał i śpiewał po polsku kozaczki jak np.

Jedzie kozak z Ukrainy podkówkami krzesze,

Za nim za nim jasnobrewa złote włosy czesze.

Czesała je grzebieniem, czesała je szczotką,

Smarowała buzię miodem, żeby miała słodką.

I nüż w przysiudy, że obywatele rzeszowscy, którym się podobny taniec bardzo śmiesznym wydał, aż się za boki brali. Radości było bez końca, zanosiło się na wesele, jak rzadko. Ale djabeł nie śpi! Grzesio wypiwszy miód, wrócił między tańcujących, a najpierwszym skutkiem było, że obywatelka Węgrzynkowa niemogąca go znieść ustała kozaczka tańczyć, ku wielkiej markotności wszystkich. Zaczęto zatem krakowiaka. Grzesio ogląda się za Jagusią, lecz ona widząc to, pobiegła do Bartlomieja stojącego w zamyśleniu, szepnęła mu żeby ją od Grzesia wybawił, i poszła z nim w taniec. Grzesio się zczerwienił ale nic nie odrzekł, wziął pierwszą lepszą mieszczkę i tańcował. Pierwszy, kto stanął przed muzyką był Bartłomiej. Gniewliwym okiem rzucując na Grzesia śpiewał:

Na zamkowym stawie pływają karasie,

Od mojej dziewczyny wszystkim durniom zasie!

i gniewnie powtórzył:

Od mojej dziewczyny wszystkim durniom zasie! -

Grzesio zagryzł wargi, i chcąc się pomścić, zaczął śpiewać na rzeźników nazywając ich kolibykami. Jeszcze nie dokończył, kiedy z boku dostał szturkańca pod ziobro tak potężnego, że się aż zgiął. Sprawcą tego szturkańca był młodszy brat pana młodego Marcin Miszczański, uczeń szkół Ojców Pijarów, chłop sążnisty i pod wąsem. Zasłoniony kobietami tak zręcznie go wykonał, że Grzesio, niewiedząc kogo się czepić, wolał zamilczeć i tylko poglądał po rzeźnikach chcąc z twarzy sprawcę poznać, a w oczach mu się łzy kręciły. Niepoznawszy zabrał i wyniósł się powoli.

Lecz zemstę zaprzysiągł rzeźnikom!